

Na szczytach świata.

Część 1.

Rozmowa z Anną Borecką, samotną alpinistką, autostopem przemierzającą kolejne kontynenty.



Plakat do autorskiego projektu, fot. i oprac. Anna Borecka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Jest Pani autorką projektu „200 szczytów świata”. Do tej pory zdobyła już pani 50 gór. Na czym polega ten projekt?

Anna Borecka:

Moim celem jest zdobycie najwyższych szczytów we wszystkich państwach na świecie. Jest to pionierski projekt, bo jeszcze nikt tego nie dokonał. Jednak tych gór jest trochę więcej, niż

dwieście. W Kolumbii są dwie wzniosłości o podobnej wysokości, Cristóbal Colón i Simón Bolívar (5775 m). Nie wiadomo, która z nich jest trochę wyższa, więc trzeba wejść na obie. Natomiast w niektórych państwach afrykańskich są nawet trzy wierzchołki do osiągnięcia, bo nie ma dokładnych pomiarów, a różne plemiona uważają, że to na ich terenie jest najwyższy pik. Ja zdobyłam 50 szczytów, w większości podróżując autostopem w pojedynkę. Projekt realizuję od pięciu lat i w tym czasie weszłam na 31 najwyższych gór. Jednak niektóre z nich zdobyłam zespołowo i w różnych latach. W sumie mam w swojej kolekcji **Ararat** (5137 m), **Demawand** (5610 m), **Elbrus** (5642 m), **Aconcagua** (6960 m) i wszystkie najwyższe szczyty lub punkty w europejskich państwach, poza Białorusią. Ostatnio dołączyły do nich **Dżabal Tubkal** (4167 m) w Maroku czy **Pico do Fogo** (2829 m) na Cabo Verde. Z jednej strony to dużo, a z drugiej, to dopiero ćwierć projektu. Jednak jestem optymistką. Skoro pół roku temu porzuciłam pracę w pewnej firmie, żeby zawodowo realizować moje górskie marzenia, i zajmuję się teraz promocją projektu, to wkrótce pojawi się ktoś, kto do mnie dołączy. A razem możemy zrobić więcej. Dzięki moim publikacjom i prezentacjom mam już w Polsce i innych krajach zwolenników, którzy swoją popularną „Koronę Europy” przekształcają w „Koronę Globu”. Cieszy mnie to, że inspiruję innych do poznawania świata i realizacji marzeń na wysokim poziomie. (Śmiech)

Jednak większość entuzjastów mojej idei działa standardowo.

Zazwyczaj ludzie organizują szybkie i drogie wyjazdy na pojedyncze góry. Ja podróżuję tanio, ale wolno, bo autostopem, i przez kilka tygodni zdobywam kilka szczytów w sąsiadujących państwach. Kiedyś realizacja takiego globalnego projektu była pobożnym życzeniem, a teraz to kwestia doświadczenia, determinacji i finansów. Ja w dwóch pierwszych dziedzinach jestem dobra, ale w trzeciej, to muszę się jeszcze sporo nauczyć. Dotychczas wiele rzeczy robiłam wolontaryjnie lub za niewielką opłatą: prezentacje, artykuły, książki, a także pomoc innym. Teraz marzy mi się długa wyprawa na 3, 6 lub 12 miesięcy, żeby realizować trzeci etap projektu, czyli **32 Piki Ameryki**. Teoretycznie jestem już przygotowana, fizycznie chyba też, bo trenuję po półtorej godziny dziennie. Muszę tylko zrobić jakiś wielki skok, żeby znaleźć się po drugiej stronie Atlantyku. A potem, w miarę szybko i bezpiecznie zdobywać kolejne wulkany, wzgórza schowane w dżungli lub wspinać się na zacne sześćtysięczniki. Na niektóre z nich potrzebuję partnera wspinaczkowego, bo w pojedynkę to strach. Jestem więc na kolejnym życiowym zakręcie, ale oczami wyobraźni widzę tylko górską drogę w stronę szczytu. Ktoś więc musi mi pomóc, bo człowiek nigdy nie jest sam. Ktoś, kto znajdzie swoje miejsce w projekcie „200 Szczytów Świata”.



Zbieranie informacji przed wyprawą, fot. Michel Evers.

Jak się Pani przygotowuje do wypraw?

Przed wyprawą do Chin poświęciłam aż cztery miesiące na przygotowania, a w drodze spędziłam trzy miesiące. To jednak była moja druga samotna ekspedycja i jak na razie najdłuższa. Teraz mam taką zasadę, że każda rzecz musi być wielofunkcyjna, bo inaczej nie jedzie ze mną na wyprawę. Za karę zostaje w domu, siedzi w kącie i czeka do mojego powrotu. Wtedy ponownie weryfikuję, co powinnam wziąć, a co zostawić. Przed wyjazdem robię *casting*, ważę, mierzę i wybieram tę rzecz, która jest najlżejsza. Żeby zminimalizować ciężar bagażu odcinam nawet metki od ubrań. Zamiast butów trekkingowych zabieram

buty do biegania. Pakuję śpiwór o połowę cieńszy, ale i lżejszy, niż powinnam mieć. Podobnie jest ze sprzętem wspinaczkowym, biorę tylko niezbędne minimum: dwa karabinki, trzy taśmy, jedną śrubę lodową, raki i czekan. A innym razem zabieram tylko pozytywną afirmację i nadzieję na szczęśliwy powrót. I oczywiście złoszczę się na siebie, gdy czegoś brakuje mi w górach, gdy moknę na drodze, gdy marznę w namiocie. Pakuję się więc skrupulatnie, ale minimalistycznie, a i tak mam 20 kilogramów w plecaku. Informacje o trasie i górach czerpię z Internetu, czasem podpytuję też znajomych. Mapy otrzymuję z zaprzyjaźnionej „Księgarni Podróżnika”. Tanie bilety lotnicze, na wyspy-państwa, wyszukuje mi córka, Kalinka. A Kuba, mój zięć, pomaga mi w tematach fotograficznych. Znajomy artysta-podróżnik, czasem da jakąś dobrą radę. Okazjonalnie ktoś inny pomoże w załatwieniu jakiejś sprawy.

Jak Pani dba o zdrowie i urodę w podróży?

Zabieram ze sobą minirecznik i minikosmetyki, więc trudno mówić o dbaniu o urodę. Po zejściu z gór, moimi zdjęciami można by straszyć dzieci. Poważnie! W górach nie ma mowy o makijażu, ale przed powrotem do cywilizacji muszę chociaż „zrobić oko”, żeby nie przerazić dorosłych.

Do niedawna uważałam, że najlepszymi kosmetykami dla kobiety są górskie słońce i wiatr. Jednak ostatnio zmieniłam zdanie, bo to

prawdziwe SPA: solarium, sauna, lifting i masaż w jednym. Często są nawet bicze wodne lub krioterapia - opuszki u rąk, palce u nóg oraz stopy przymroziłam już kilka razy. Po peruwiańskim słońcu miałam poparzenie twarzy drugiego stopnia, więc skóra zeszła mi z niej całkowicie, ale stopniowo. Najpierw wyglądałam jak pomarańcza obierana po kawałku, lecz po jakimś czasie miałam buzię gładką, jak pupcia niemowlaka. Przed bliznami na twarzy uchronił mnie zwykły „Dermosan”, który dostałam od kolegi z grupy. Znów miałam szczęście, chociaż w górach można znaleźć lepsze kosmetyki, niż w teatralnej garderobie. No i charakteryzację ma się lepszą, niż niejeden aktor... w horrorze. Standard, to twarz spalona słońcem, spuchnięta i z lekkimi odmrożeniami, usta broczące krwią, a włosy zniszczone i potargane. Ja po dłuższym wyjeździe doprowadzam się do porządku przez kilka dni. Za to woda w górach jest cudna, rześka i zdrowa, byle nie ta z lodowca. W Europie najlepsza jest w Islandii i Szwecji, tak przynajmniej twierdzą Skandynawowie.



Wysokogórskie selfie – Pik Rozdzielenia (6148 m n.p.m.), fot. Anna Borecka.

Kiedy odkryła Pani w sobie pasję wspinaczkową?

Wkrótce po urodzeniu dziecka. Poważnie! Ale zacznę od początku.

Moja przygoda z górami zaczęła się, gdy miałam 12 lat. W Beskidach zachwyciłam się pięknym widokiem i powiedziałam, że zawsze chcę chodzić po górach.

Na pierwsze taternickie ścieżki weszłam zaraz po zdaniu matury.

W trzecim tygodniu ciąży zdobyłam **Żabi Szczyt Wyżni** (2259 m), a niedługo potem córka otrzymała tatrzańskie imię. Wtedy jeździliśmy rodzinnie w Tatry, ja z mężem i z siostrą. Byliśmy stałymi bywalcami szałasów na Rusinowej Polanie, a tam rosło piękne drzewo kaliny. Tak narodził się pomysł imienia dla naszej Kalinki. A potem rodzinnie podnieśliśmy sobie poprzeczkę. W skałach Krystyna poznała swojego przyszłego męża, Roberta, więc wspinaliśmy się w dwóch zespołach, w kobiecym i męskim.

Gdy zostałam mamą przyszła do mnie w odwiedziny moja siostra i powiedziała, że zapisuje się na kurs wspinaczkowy. Ja na to, że też bym chciała, ale jestem już żoną i matką. Nie miałam jeszcze wtedy 22 lat, ale wydawało mi się, że na wiele rzeczy jest już za późno. Siostra stwierdziła jednak, że w życiu zawsze trzeba iść naprzód, więc poszłam.

Jesienią chodziłam na kurs teoretyczny, a wiosną miałyśmy razem kurs praktyczny w Górach Sokolich, koło Jeleniej Góry. Moja córka miała dziewięć miesięcy, gdy zaczęłam się wspinać. I to w oryginalny sposób, bo byłam zabalsamowana niczym mumia. Jako „Matka Polka z Karmiących” nie mogłam sobie poradzić z nadmiarem pokarmu, ale Krystyna znalazła na to sposób. Była wtedy pielęgniarką, więc codziennie przed wspinaczką bandażowała mi tułów. I tak zdałam egzamin. Od razu złapałam wspinaczkowego bakcyła. To była duża adrenalina i strach, ale też radość z pokonywania trudności technicznych.

Ważylałam wtedy 53 kilogramy i z ciekawością uczyłam się poruszania w pionie. W pasie miałam 62 cm, a alpinista szyjący mi uprząż wspinaczkową stwierdził, że takiej szczupłej klientki to jeszcze nie miał.

Pamięta Pani swoją pierwszą wyprawę?

Najpierw były wyjazdy wspinaczkowe w Sokoliki, potem w Tatry i Alpy, weekendowo lub wakacyjnie. Wspinaliśmy się związani liną, na drogach trójkowych lub czwórkowych. Na pierwszą wyprawę, w dodatku komercyjną i w dużej grupie, wyruszyłam w Kaukaz, w 2003 roku. W ciągu 26 dni wspięliśmy się po skale na szczyt mierzący około 3900 m, potem na **Uiłpatę** o wysokości 4644 m, jeszcze weszliśmy na **Czeget Karabaszi** (3753 m), **Kurmutau** (4045 m) i na oba wierzchołki **Elbrusu** (5642 i 5621m). Było trochę wspinaczki pod okiem zawodowego instruktora z Białorusi, a trochę trekkingu na niezbyt trudne, ale wysokie bałuchy.

Jednak w życiu zawsze miałam pod górkę. Na pięć dni przed tą wyprawą musiałam wezwać pogotowie. Przestałam widzieć, serce waliło mi jak młotem i bałam się, że zemdleję. Miałam jakiś wstrząs anafilaktyczny, bo antybiotyk, który brałam, ponoć był już rzadko zalecany przez lekarzy. Pogotowie chciało mnie zabrać do szpitala, a ja na to, że mam opłacony urlop i niedługo wyjeżdżam. Nie przyznałam się, że przez prawie miesiąc będę

dźwigać 30-kilogramowy bagaż na Kaukazie. Potem z trudem spakowałam się, a gdy zakładałam plecak, to przewróciłam się pod jego ciężarem. No, ale za trzecim razem udało się. Żeby zregenerować siły, w czasie dwóch dni podróży pociągiem, dużo spałam. W Północnej Osetii nocowaliśmy w starym zamczysku i tam miałam kolejny atak, na szczęście już słabszy. Wtedy pomógł mi jeden z uczestników wyjazdu, były komandos, który znał zasady pierwszej pomocy. Potem jeszcze zasłabłam w górach, na chwilę przed tym, jak dopadła nas lawina. Jednak nie przyznałam się, co się ze mną dzieje. Byłam zdziwiona reakcją niektórych osób, bo ta lawina nie była wcale taka duża. Ja bardziej bałam się, że padnę z powodu trefnego antybiotyku, niż niewielkich bryłek śnieżno-lodowych.

Potem były inne wyprawy grupowe: na **Aconcaguę** w Argentynie (6960 m), na **Pisco** (5752 m) w Peru. Był też wyjazd wspinaczkowy na siedem czterotysięczników w masywie Monte Rosa, we Włoszech. Dzięki temu zdobyłam doświadczenie, potrzebne do realizacji samotnych wypraw: przez Karpaty na Ararat, autostopem do Chin – ze wspinaczką powyżej 6000 metrów, autostopem w góry niemal całej Europy, a ostatnio nawet Afryki.



Na zachodnim wierzchołku Elbrusu (5642 m n.p.m.), fot. ze zbioru Anny Boreckiej.

Kiedyś wspinała się pani zespołowo, teraz samotnie. Czy coś się stało, że zdecydowała się Pani na tak odważne, samodzielne wyprawy?

W latach 2001 – 2006 wspinałam się w męskim gronie, ale w różnych, często przypadkowych zespołach. Weszłam wtedy na takie szczyty, jak **Triglav** (2863 m), **Mont Blanc** (4810 m), **Grossglockner** (3798 m) i wspomniane powyżej góry. Wspinałam się też w lodospadach Słowackiego Raju i w austriackim Maltatalu. To był nowy żywioł i fascynacja naturą: 20 stopni mrozu, zamarznęty wodospad i niebywała cisza. A ja,

uzbrojona w czekany i raki do wspinaczki lodowej oraz trochę szpeju, szłam znów w pionie. Najpierw wspinaliśmy się „na wędkę”, a potem w zespołach dwu- lub trzyosobowych. Chłopaki nie pozwalali mi prowadzić, bo oni mieli po 10-15 lat doświadczeń we wspinaczce lodowej, a ja byłam świeżynką. Parę razy poszłam więc na żywca, czyli sama i bez asekuracji, na niewielkich lodospadach. No więc raz czy dwa pozwolili mi prowadzić.

Latem 2006 roku nastąpił przełom, bo umówiłam się online, na wspinaczkę w Sokolikach, z kimś, kogo nie znałam. I wtedy przeszłam drogę wspinaczkową, na której zginął mój mąż – Darek. Oczywiście nic o tym nie powiedziałam nowemu koledze. Dowiedział się o mnie trochę więcej, gdy spotkaliśmy się jakieś pół roku później i wręczyłam mu swoją pierwszą książkę, pt. „Alpinizm – życie na haju”. W niej opisałam nie tylko zabawne historie ze wspinaczki zespołowej i zdobywania gór do 2006 roku, ale też wypadek Darka, moją traumę i antidotum na nią, jakim po latach okazały się znowu góry.

W roku 2007 postanowiłam, że nie będę się już wspinać. Jednak w 2008 roku zginął w górach mój znajomy, a jego żona poprosiła mnie o zajęcie się akcją ratowniczą i sprowadzeniem ciała do Polski. Wtedy przeżyłam kolejną traumę, a jak się z niej otrząsnęłam, to paradoksalnie, postanowiłam zorganizować samotną wyprawę. Pomyślałam wtedy, że przynajmniej nikt mi

na niej nie umrze.



Wspinaczka w lodospadach Słowackiego Raju, fot. ze zbioru Anny Boreckiej.

Mówi Pani o śmierci w górach. Gdy oglądałam film dokumentalny Pawła Wysoczańskiego „Jurek” o himalaiście Jerzym Kukuczce, targały mną różne emocje, od podziwu po żal. Zadawałam sobie pytanie, dlaczego alpiniści zakładają rodziny, dlaczego narażają bliskich na życie w wiecznym strachu? Pani też straciła w górach męża w 1992 r. Nie umiem sobie wyobrazić traumy, którą

musiała Pani przejść, zostając sama z dwuletnią córeczką. A jednak... dalej Pani zdobywa szczyty.

Niestety, każdy alpinista naraża swoich bliskich na wielki stres i w tym jest egoistyczny, ja także. Jednak organizując samotne wyprawy, wybieram góry w granicach moich możliwości fizycznych, zdobytego doświadczenia i trudności wspinaczkowych. W moim projekcie „200 Szczytów Świata” jest wiele zwykłych, turystycznych gór, lecz te, na których trzeba zawalczyć, są po prostu bardziej zacne. Te mnie najbardziej cieszą.

A jeśli chodzi o tamtą sprawę, to... Darek miał 25 lat, gdy zginął, a ja miałam 24 lata. Córka miała wtedy dwa latka i przykrywała mnie tetrową pieluszką, gdy płakałam zwinięta w kłębek. Przez wiele lat czułam się winna, że pojechaliśmy na wspinaczkę w czwórkę, a wróciliśmy w trójkę, że dziecko straciło ojca, że ja żyję... Dzięki mojej mamie podźwignęłam się, bo kazała mi żyć dla córki. Dopiero po czternastu latach całkowicie wyszłam z traumy, właśnie wtedy, gdy przeszłam skalną drogę, na której zginął Darek. Napisałam o tym w książce, bo to było moje osobiste *katharsis*. Z córką do dzisiaj jestem silnie związana emocjonalnie. Czasem nawet zamieniamy się rolami, gdy ona mi trochę matkuje, jednak bardziej jesteśmy przyjaciółkami.

Co takiego jest w samotnych wyprawach, że tak Panią

pociągają?

Mam kilka powodów do organizacji samotnych wypraw, jak wolność, ciekawość świata i ludzi oraz notoryczny brak kasy. No, taka jest prawda. Z jednej strony jestem organizatorem, liderem i uczestnikiem, więc robię wszystko tak jak chcę, biorąc pod uwagę znikome fundusze. Z drugiej strony cieszę się z poznawania nowych krajów i ciekawych osób, oraz radzenia sobie na autostopie lub w górach. Odkryłam też nowe umiejętności, o których wcześniej nie miałam pojęcia. Jest to błyskawiczne podejmowanie decyzji w sytuacji zagrożenia, w kontaktach z ludźmi i w czasie walki z żywiołami. Jest to totalna koncentracja podczas solowej wspinaczki w obcym terenie. Jest też trening mentalny przed i w czasie wyjazdu, oraz powtarzanie mantry, że spotykam tylko dobrych ludzi. Wreszcie jest to korzystanie z intuicji. Są też piękne spotkania z ludźmi o pokrewnych duszach, którzy od razu wydają mi się znajomi. Są bajeczne krajobrazy, jest czas na fotografię i na zadumę. To ta niezależność tak mnie pociąga. Poza tym, nikt nie brzęczy mi nad uchem, opowiadając o swoich problemach w czasie, kiedy powinien skoncentrować się na drodze lub pięknie otaczającego świata. Góry są też świetnym miejscem na oczyszczanie psychiki z przyziemnych spraw oraz organizmu – z miejskiego smogu. Tak, niektórym ludziom wyjazdy górskie powinny być zalecane na receptę. (Śmiech) A ja mogę te recepty wypisywać.

Bywają też niezwykle spotkania z przyrodą. Kiedyś rozbiłam namiot nad jeziorem, w górach Sierra Nevada w Hiszpanii, na wysokości 3000 metrów. I przyszła do mnie górska kozica. Wskoczyła na duży głaz i spojrzała w dół. Gotowałam wtedy zupełnie na kuchence turystycznej. Kozica mnie widziała, a jednak stała na kamieniu z wyciągniętą szyją, wdychając zapachy. Ostrożnie sięgnęłam po aparat fotograficzny, jednak ona była szybsza. A szkoda, bo miałaby piękny portret z odległości dwóch metrów, jako zdjęcie profilowe na fejsbuku. (Śmiech)



W górach Sierra Nevada do koleby przyszła górska kozica, fot. Anna Borecka.

Czy dla Pani góry to jest rodzaj uzależnienia?

W górach czuję się jak w domu. Wielu ludzi boi się dzikiej natury, żywiołów, trudów, ucieka od niewygód i niebezpiecznych sytuacji. A ja gdy idę w góry, to gęba śmieje mi się od ucha do ucha. To jest mój raj na Ziemi, bo góry są święte. Dopiero tam człowiek dostrzega, jaki jest mały, i że jest tylko częścią natury. Wtedy wszystko wydaje się bardziej proste. Łapie się dystans do wielu spraw i do samego siebie. Wówczas przychodzi mi na myśl, że nie muszę nic, więc mogę wszystko. Mogę wreszcie realizować swoje marzenia.

Bywają też chwile grozy, gdy proszę Boga, żeby dał mi choć jednego człowieka. To jest dziwne, ale czasem łatwiej jest wspinać się po obludzonej grani, gdy ktoś jest obok. Nawet, gdy to jest ktoś obcy i działający samodzielnie. Chociaż miałam niezwykle przeżycie w drodze na Mont Blanc, w czasie śnieżnej zadymki. To było moje drugie spotkanie z tą górą, jednak przy okazji, bo moim głównym celem było wspięcie się na **Mont Blanc de Courmayer** (4748 m), najwyższy szczyt Włoch. Było dosyć stromo, zimno i ślisko, a ja byłam sama, w dodatku w minirakach – z sześcioma zamiast dziesięcioma zębami. Ręce przymarzały mi do czekana i kijka trekkingowego, ostrza raków słabo wchodziły w lód i zaczęłam się bać. Po chwili, ni stąd, ni zowąd, spłynęła na mnie dziwna cisza. Pomyślałam wtedy, że to nieważne, co się za chwilę stanie, bo ja już tutaj zostawiłam swój

ślad. Gdybym nawet spadła z tej grani, to nie ma to żadnego znaczenia, bo przecież należę do tej góry tak samo, jak ona należy do mnie. To było wtedy takie oczywiste, że uspokoiliłam się i ruszyłam dalej.

Czy góry uzależniają? Tego nie wiem. Dla mnie to jest zew. W pewnym momencie jakaś góra zaczyna za mną chodzić, więc i ja muszę do niej iść, żeby się przywitać, poznać bliżej i mieć własne zdanie na jej temat. Z resztą, myślę, że z wzajemnością. (Śmiech) A poważnie mówiąc, to góry są niezłą szkołą życia, nauką o wolności w ekstremalnych warunkach.



Wschód słońca w drodze na Mont Blanc (4810 m n.p.m.), fot. Anna Borecka.

Dalszy ciąg rozmowy z Anną Borecką, o przemierzonych krajach, spotkanych ludziach, przygodach w górach, życiowych celach i nauce, jaką otrzymuje się od gór – ukaże się w piątek 15 marca 2019 r.

O Annie Boreckiej:

<https://www.cultureave.com/sukces-2018-50-gora-sposrod-200-sz>

Historia domu Pod Bocianami



Dom Pod Bocianami. Najpiękniejszy ganek drewniany w Łańcucie, fot. Wrzesław Żurawski.

Teresa i Wrzesław Żurawscy

O uroku Łańcuta stanowi nie tylko magnacka rezydencja Lubomirskich i Potockich, ale także zabytkowe, malowniczo rozsiadłe w ogrodach wille i domy, które nadały miastu niepowtarzalny charakter. Najstarsze z zachowanych pochodzą z XIX w. Należy do nich parterowy, typowo miejski dom *Pod Bocianami*, tym bardziej cenny – bo drewniany, do naszych czasów zadbane i remontowany przez właścicieli z pełną świadomością jego wartości historycznej i zabytkowej. Ze względu na budulec, jakim jest drewno, zabytki tego typu są bardziej narażone na niekorzystny wpływ czasu, pogody i... człowieka, który (strach pomyśleć) przez nieostrożność może zaprószyć ogień. Z powyższych względów liczna kiedyś w Łańcucie zabudowa drewniana prawie zniknęła.

Na szczęście dom *Pod Bocianami* stoi w pełnej krasie: okazały, bogaty, strojny w detal ciesielski. Wybudowany został z modrzewia w drugiej połowie XIX w. dla rodziny drogomistrza Kaczorowskiego. Nadano mu kształt wydłużonego prostokąta. Usytuowany w obszernym ogrodzie – dłuższą elewację, ozdobioną gankiem, zwraca ku ulicy Paderewskiego, naprzeciwko należącego do *obszaru dworskiego* folwarku *na Górnem* (po II wojnie światowej teren szpitala).

Jak wynika z informacji opracowanych przez Z. Juchę w 1980 r. (karta ewidencji zabytków WUOZ Rzeszów) – w ostatnim dziesięcioleciu XIX w. dom rozbudowano. W 1934 r. dom *Pod Bocianami* nabyły rodziny dwóch braci: Maria i Franciszek Rzucidłowie oraz Józefa i Józef Rzucidłowie od nauczycielki szkoły powszechnej Dzierżyńskiej. Już w następnym roku nowi właściciele przeprowadzili remont generalny budynku, a w latach 60. XX w. wprowadzono instalację wodociągową. Na skutek modernizacji i remontów rozkład domu zmienił się. W pierwotnie dwutraktowym, amfiladowym układzie wnętrza zbudowano przez środek ścianę rozdzielającą dom na dwie połowy dla użytku i wygody dwóch rodzin. Zewnętrzny jego wygląd pozostał niezmieniony – dwuspadowy blaszany dach przykrywa oszalowaną deskowaniem wydłużoną bryłę.



Dom Pod Bocianami przy ul. Paderewskiego w Łańcut, fot. Wrzesław Żurawski.

Prawdziwą ozdobą budynku jest okazały przeszklony ganek na środku elewacji frontowej. W jego trójkątnym szczycie, oszalowanym w drobną łuskę, umieszczono symetrycznie parę zwróconych ku sobie bocianów, wyciętych z drewna i malowanych. Od tej ozdoby do drewnianego modrzewiowego domu przyłgnęła nazwa *Pod Bocianami*. W dużych, zamkniętych łukiem, przeszklonych oknach i drzwiach ganku wprowadzono drobne regularne podziały geometryczne, a pod oknami w szalunku – profilowo wycięte ornamentalne deskowanie. Niezwykle bogate jest obramienie okien budynku. W elewacji frontowej umieszczone po obu stronach ganku, po dwie bliźniacze pary otworów okiennych flankowane są kanelowanymi

smukłymi półkolumnienkami i zwieńczone trójkątnymi, wycinanymi z desek szczytami; w dolnej części wsparcie dla kolumnienek dają snycerowane konsolki, połączone toczonym wałkiem – rodzajem parapetu z podwieszonym ażurowym, wycinanym ornamentalnie fartuszkiem pod każdym oknem.

W układzie wnętrzu domu zachowała się stara stolarka drzwiowa, podłogi, stropy oraz... niepowtarzalny klimat, pielęgnowany przez kolejne pokolenia spadkobierców rodziny Rzucidłów po dzień dzisiejszy. Smakowaniu tej staropolskiej gościnnej atmosfery sprzyjały, zapamiętane jeszcze z lat 80. i początku 90. XX w. wizyty w domu *Pod Bocianami*, okraszone pięknymi opowieściami Bogusława Rzucidły (syna Józefa), gdy siedząc w wygodnych fotelach i pijąc aromatyczną herbatę słuchaliśmy pogawędek o czasach przedwojennych, wojennych i powojennych. Jakże miłą dla nas okazała się retrospekcja tych opowieści przywołana w 2017 r. przez Państwa Jankowskich w tymże domu *Pod Bocianami*, świeżo i z sercem wypielęgnowanym do oryginalnej deski, belki stropowej czy mebla.



Bociany schowane pod dachem, fot. Wrzesław Żurawski.

Trzeba wiedzieć, że z domem *Pod Bocianami* wiąże się emocjonujący epizod z czasu II wojny światowej. Dnia 23 kwietnia 1944 r. z lotniska w Campo Cassale koło Brindisi wystartował brytyjski samolot Halifax JP 224 o imieniu „Rita”. Miał dokonać zrzutu broni i zaopatrzenia dla Armii Krajowej w rejonie Opola Lubelskiego. W wyniku awarii silników (na skutek

ostrzału przez samolot niemiecki) siedmioosobowa załoga wyskoczyła z maszyny przed jej rozbiciem w okolicach Tarnogóry koło Sarzyny. Lotnicy przeżyli. **Oscar Congdon** oraz **Edward Elkington Smith** dostali się do niewoli niemieckiej, skąd po wojnie wrócili do Wielkiej Brytanii. **James Caradog Hughes**, **Charles Keen**, **Thomas Storey** (pilot) i **Patric Stradling** dostali się pod opiekę oddziałów partyzanckich Batalionów Chłopskich „Ojca Jana”, następnie przekazani oddziałowi AK „Kmicica”, a następnie oddziałowi partyzantów AL „Muchy” i sowieckich, którzy zorganizowali ich ewakuację lotniczą przez Kijów i Moskwę do Murmańska, skąd wrócili do Wielkiej Brytanii.

Siódmy z lotników, sierżant **Walter Davis**, radiotelegrafista, był ukrywany w rodzinie państwa Deców w gajówce w Smolarzynach, następnie w Rakszawie. Spotkał się z angielskim wojskowym przechowywanym przez AK **Jamesem Bloomem**, uciekinierem z niemieckiego obozu jenieckiego. **James Bloom** wstąpił do AK i został zaprzysiężony pod pseudonimem „Antek”. Korzystał z pomocy rodziny Sowów z Soniny, których córkę Katarzynę poślubił w warunkach konspiracyjnych. Obaj Anglicy wraz z francuzem **Henri Roustanem** (przypuszczalnie także uciekinierem z obozu) dostali się pod opiekę Zenona Szusta w Łańcucie. Przechowywani byli w domu *Pod Bocianami* przy ul. Paderewskiego 12 w rodzinie Józefa Rzucidło.

Józef Rzucidło ur. W 1891 r. był prawnikiem, absolwentem Uniwersytetu we Lwowie. Pracował w Banku Ziemskim, a następnie w Sądzie Powiatowym w Łańcucie jako kandydat notarialny, asesor notarialny, p.o. sędziego, notariusz. Jego biuro mieściło się w willi Fangorów przy ul. Mickiewicza. Po wojnie został kierownikiem Państwowego Biura Notarialnego. Był ostatnim prezesem Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Łańcucie, zmuszony w 1946 r. do oddania Starostwu Powiatowemu kluczy do budynku Towarzystwa. W 1939 r., w czasie okupacji niemieckiej, aresztowany i katowany przez gestapo, następnie osadzony w obozie w Pustkowie, gdzie przebywał 18 miesięcy do 1943 r.

Aliantami zajmował się również syn Józefa, **Bogusław Rzucidło** ur. w 1920 r. żołnierz AK ps. „Bob”, zaprzysiężony we wrześniu 1943 r. Kolportował on prasę podziemną, prowadził nasłuch radiowy, a dzięki znajomości języków niemieckiego, angielskiego i francuskiego był łącznikiem między placówkami AK i zbiegłymi z niewoli żołnierzami alianckimi. Załatwiał on ślub kościelny **Jamesa Blooma** „Antka” i zorganizował mu wesele we własnym domu.

Walter Davis korzystał z pomocy państwa Rzucidłów do lutego 1945 roku. Alianci zamieszkiwali okresowo także w innych miejscach w Łańcucie i okolicy, między innymi w wieżyczce willi Cetnarskich przy ul. Konopnickiej 29. Ukrywanymi opiekowali

się także Helena Pawłowska i jej brat sierżant żandarmerii WP Stanisław Pawłowski, żołnierz AK ps. „Rom”. Zenon Szust, poliglota, miłośnik poezji i muzyki umożliwił także potajemnie **Walterowi Davisowi** grę na organach w łańcuckiej farze. Po wojnie **Walter Davis** został ewakuowany przez Kijów, Odessę i drogą morską do Wielkiej Brytanii, gdzie został organistą w kościele parafialnym w Eversley.



Uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej z udziałem młodzieży I LO. W jasnym garniturze gospodarz – pan Janusz Jankowski, fot. Aleksandra Ruszel.



Goście uroczystości: siedzi Maria Szpunar – siostra żony Jamesa Blooma „Antka”, stoją od lewej: Magdalena Lew-Srawa (wnuczka Marii Szpunar), Dorota Szpunar (córką Marii Szpunar) i Teresa Bagińska – Żurawska, fot. Aleksandra Ruszel.

Po wojnie Józef Rzucidło za swoje zasługi został uhonorowany przez brytyjskie władze wojskowe dyplomem wdzięczności.

W 1946 r. Biuro Attache Wojskowego Ambasady Brytyjskiej w Warszawie reprezentowane przez majora J. F. Fillinghama przekazało Józefowi Rzucidło kwotę 20.000 zł tytułem rekompensaty za przechowanie angielskich wojskowych w czasie

okupacji niemieckiej. Obdarowany, jak sam napisał, przyjął pieniądze „na usilne życzenie” *attache* i przeznaczył je w całości na cele społeczne.

Połowę tej sumy czyli 10.000 zł na pomoc dla 20 uczniów 1 L.O. w Łańcucie pochodzących z biednych rodzin. Zostali oni wytypowani przez Radę Pedagogiczną. Zachowała się imienna lista z potwierdzeniami odbioru.

5.000 zł Józef Rzucidło przeznaczył na odnowienie Kościoła Mariackiego w Krakowie składając je na ręce ks. prałata dr Ferdynanda Machaya – proboszcza.

Pozostałe 5.000 zł otrzymał zaś Główny Komitet Uczczenia Pamięci Wincentego Witosa w Warszawie z przeznaczeniem na budowę Uniwersytetu Ludowego im. W. Witosa w Wierchosławicach.

Wszystkie dokumenty w tej sprawie pozostały w rodzinie Rzucidłów i są przechowywane do dziś.

W lipcu 2018 r. państwo Małgorzata i Janusz Jankowscy umieścili na domu *Pod Bocianami* tablicę informującą o alianckich gościach w czasie wojny. Przypomina ona o zaangażowaniu łańcucian w walkę podziemną, ich doskonałej organizacji i niezłomnej postawie moralnej.



This certificate is awarded to

JOZEF RZUCIDLO

*as a token of gratitude for and appreciation
of the help given to the Sailors, Soldiers
and Airmen of the British Commonwealth
of Nations, which enabled them to escape
from, or evade capture by the enemy.*

*Air Chief Marshal,
Deputy Supreme Commander,
Allied Expeditionary Force*

1939-1945

W opracowaniu wykorzystano informacje z książki Stanisława Jankowskiego „Ostatni lot Halifaxa” oraz dokumenty z archiwum rodziny Rzucidłów.

Spór o polską sztukę emigracyjną



„Sztuka w poczekalni” – tak określił polską sztukę emigracyjną prof. Jan Wiktor Sienkiewicz. Na zdjęciu jeden z loftów w wielkiej metropolii Północnej Ameryki.

Katarzyna Szrodt

Łamy „Culture Avenue – Polska Kultura Poza Krajem”, wydają się właściwym miejscem, by poruszyć temat, który od lat nurtuje badaczy dziedzictwa emigracyjnego: czy dorobek artystów polskich stworzony poza granicami kraju jest częścią polskiej kultury? Wynika stąd drugie pytanie – jakie określenie najtrafniej oddaje charakter tej sztuki: „sztuka emigracyjna”, „sztuka polonijna”, „sztuka polska powstała poza krajem”?

Z racji, że od lat zajmuję się badaniem dorobku artystów

polских tworzących na emigracji w Kanadzie, omówię ten problem na przykładzie kanadyjskich realiów. Gdy po 1940 roku, w wyniku wojennej pożogi, na terenie Kanady zaczęli pojawiać się polscy artyści plastycy, za wszelką cenę chcieli kontynuować swoją twórczość w nowym świecie. Z powodu wojennej i powojennej biedy panującej w Kanadzie, z faktu, że Kanada nigdy nie była krajem łatwym dla sztuki i artystów, również z powodu pierwiastka nacjonalistycznego, zaszczepionego sztuce kanadyjskiej przez malarzy *Groupe of Seven*, propagujących pejzaż północy malowany przez malarzy -Kanadyjczyków - zamiar polskich artystów-emigrantów włączenia się w nurt sztuki i życia kulturalnego Kanady stał się niezwykle trudny do zrealizowania. Konieczność zaczęcia życia od zera w nowym języku i w odmiennej kulturze, połączyły się ze zderzeniem z polonijną wersją życia stworzoną przez chłopską emigrację za chlebem.

Przymiotnik „polonijny” na kontynencie amerykańskim wszedł w użycie po pierwszej wojnie światowej dla określenia emigracji zarobkowej początku XX wieku. Używany przez księży, nauczycieli szkółek polonijnych, przywódców organizacji i polski rząd - przypieczętowany został ich autorytetem. Po 1945 roku, gdy do starej, przedwojennej emigracji, zwanej Polonią, dołączyła fala wojennych uchodźców, starano się używać trafniejszych przymiotników: „emigracyjny”, „wychodźczy”, i tak również określano literaturę i sztukę tworzoną przez polskich

twórców. Jednak przymiotnik „polonijny” nie wyszedł z użycia, używany był bardzo często i jego zakres rozszerzał się na gazety, wydawnictwa książkowe i zagościł na dobre w uzusie (*zwyczajny językowy. red.*). Kwalifikowanie artystów, wykształconych w polskich i europejskich szkołach artystycznych i czerpiących inspirację z rodzimej historii i sztuki, do twórczości „polonijnej” – było nietrafne i wręcz obraźliwe. Nie było to jedyne nietrafne określenie, jakie pojawiało się w tekstach omawiających prace naszych artystów w Kanadzie. W prasie kanadyjskiej i w rządowych dokumentach, twórczość artystów-emigrantów określana była mianem „ sztuki etnicznej”. Krytycy sztuki i urzędnicy działalność artystów profesjonalnych wrzucali do jednego działu wraz z twórczością ludową i okolicznościowymi imprezami, co powodowało, że rządowe dofinansowywanie polskiej diaspory przeznaczone było przede wszystkim na organizowanie bazarów, pikników, uroczystości historycznych, a w dużo mniejszej części na wspieranie artystów, wystaw, projektów plastycznych. O aspektach „polonijnych” kultury i sztuki emigracyjnej mówiono i pisano także w Polsce, co było formą umniejszenia i odłączenia twórczości artystów-emigrantów od nurtu krajowego.

Ważny głos sprzeciwu wobec określania sztuki artystów polskich w Kanadzie „polonijną” padł ze strony profesor *University of Toronto* Danuty Bieńkowskiej:

Nie ma kultury polonijnej, jest tylko kultura i sztuka polska, której korzenie tkwią w dziedzictwie polskim – stamtąd płynie siła i inspiracja.

Bieńkowska podejmuje także kwestię „etniczności”:

Anglosasi uważają, że kultura grup etnicznych sprowadza się do zachowania pewnych form kultury ludowej – śpiewu, strojów, tańców. Polacy nie są jedynie narodem wieśniaków, którzy poza tańcem i pieśnią nie wytworzyli nic innego. Takie podejście hamuje rozwój sztuki wysokiej. Nie mając często wyboru, profesjoniści dołączają do sponsorowanych przez rząd wydarzeń folklorystycznych, co potwierdza tezę o „sztuce etnicznej”, gdzie prawdziwa sztuka przegrywa z kiczem, reprodukcją, rzemiosłem.

Profesor Bieńkowska zdecydowanie odrzuca określenie „sztuka polonijna”. Walkę przymiotnikowi „polonijna”, w odniesieniu do literatury i plastyki, wypowiedziała też Jadwiga Jurkszus-Tomaszewska – zasłużona badaczka kultury polskiej w Kanadzie, przy każdej okazji wskazując przynależność tej twórczości do dziedzictwa polskiego.

Kazimierz Głaz, malarz i pisarz, od końca lat 60. mieszkający w Toronto, uważa się za malarza polskiego a nie „polonijnego”, uzasadniając to następująco:

Zaryzykuję śmiało twierdzenie, że Polonia nie istnieje wcale. Polska, Polacy w kraju, posiadają oprócz wielu wspólnych spraw, wspólną kulturę. Polonia nie. Organizacje polonijne nigdy nie sponsorowały rozwoju kultury wysokiej, nie kupowały prac artystów, nie stworzyły systemu wspierającego twórców profesjonalnych. Nie można więc mówić o „sztuce polonijnej”.

Zwalczanie określenia „polonijny” wydaje się być nie tylko kwestią stylistyki. Widać w tym walkę artystów-emigrantów o włączenie ich sztuki w nurt sztuki krajowej. Plastycy na emigracji nigdy nie odcięli się od polskich korzeni i każda wystawa w Polsce jest dla nich świętem.

Nie ma pisarzy, malarzy, rzeźbiarzy polonijnych. Są polscy, są kanadyjscy polskiego pochodzenia i ich dokonania w Kanadzie, tak jak innych twórców polskich rozrzuconych po świecie, są rozdziałem polskiej powojennej kultury i sztuki.

O Irenie Bieńkowskiej:

<http://www.cultureave.com/danuta-irena-bienkowska-1927-74/>

O Kazimierzu Głazie:

<http://www.cultureave.com/w-poszukiwaniu-piekna-kazimierz-glaz/>

<http://www.cultureave.com/aniol-stroz-opowiadanie-sensybilistyczne/>

Przyjaźń

Florian Śmieja



Wilno 1936, pod Ostra Brama. Florian Śmieja w pumpach w pierwszym rzędzie. Przewodniczka Zofia Bohdanowiczowa. Z tyłu samotny Piotr Guzy. fot. arch. F. Śmieji.

Z powieściopisarzem Piotrem Guzym spotkałem się we wrześniu 2005 roku w Toronto. Przed wojną chodziliśmy wprawdzie do tego samego gimnazjum w Tarnowskich Górach, a nawet obaj widniejemy na fotografii pod Ostrą Bramą w Wilnie zrobionej w czasie wycieczki w 1936 roku, ale wtedy nie znaliśmy się. Różnica trzech lat była nieprzekraczalną barierą.

Kilka lat temu dowiedziałem się, że Guzy mieszka samotnie na emeryturze w Hiszpanii. Nawiązałem z nim kontakt i od tego czasu korespondowaliśmy z sobą.

Na emigracji wydał głośną, nagrodzoną przez "Kulturę" powieść "Krótki żywot bohatera pozytywnego" demaskujący działalność służb bezpieczeństwa w PR-u. Potem pracował nad dużą sagą rodową umiejscowioną na Śląsku.

Guzy był unikatem. W Polsce pod kuratelą Kazimierza Koźniewskiego napisał propagandową książkę, poczem uszedł z rodziną do Anglii. Odtąd żałował i nie mógł sobie darować, że napisał paskudną książkę. Pokażcie mi drugiego takiego naszego literata, który się wstydzi swego dorobku z czasów dyktatu komunistów w literaturze? Chyba nie ma. Spokojnie przeszli na inną pozycję, często nawet nie opuścili intratnego świecznika. Życiowi ludzie.



Jan Nowak-Jeziorański w Radio Wolna Europa, fot. Wikimedia/domena publiczna

Różne miałem sprawy z Janem Nowakiem Jeziorańskim. Chciał mnie zwerbować do radia, kiedy go odwiedziłem w Monachium, ale przyznał, że powinienem pilnować kariery akademickiej, jeżeli stanie się aktualna.

Kiedy można było swobodnie jeździć do wolnej Polski oświadczył, że nie będzie jeździł na różne tam Hawaje i Bahamy, ale do Polski. I w tym się z nim zgodziłem. Spotkałem go potem we Wrocławiu.

Latał do kraju, bo wiedział, jako doświadczony emigrant, że tylko tam znajdzie przyjaźnie najbardziej osobiste wychodzące poza zdawkowe kontakty i rozmowy, przyjaźnie głębsze, oparte na wspólnocie zainteresowań, o które gdzie indziej niełatwo, bo są

rzadkie nawet w sprzyjających warunkach i materialnym otoczeniu. Posiadanie bratniej duszy to wygrana na loterii, to kosztowanie pełni życia, to wychodzenie poza ciasne, samolubne ramki, aby żyć żarliwiej. Największym brakiem na emigracji jest brak bliskich ludzi, którzy są bardziej potrzebni w życiu niż dobrobyt i kariera, bo są rękojimą zdrowia. Ich strata jest nieszczęściem. Kto stracił druha i nieodstępного towarzysza stał się kaleką.

Bronisław Piłsudski – badacz kultur Dalekiego Wschodu



Ajnowie, fotografia z wystawy „Bronisław Piłsudski (1866-1918) w Wilnie”, niepodlegla.gov.pl

Monika Dąbrowska

Pociąg z Osaki do Tokyo pędzi tak szybko, że nie sposób uchwycić zmieniającego się za oknem krajobrazu. Moja podróż po Japonii dobiega końca, a ja próbuję utrwalić w pamięci to wszystko, co przyniosły ostatnie dwa tygodnie dotykania japońskiej rzeczywistości, nowe miejsca, dźwięki, zapachy. Z rozmyślań wrywa mnie komunikat o zbliżającym się przystanku. Na czerwono wyświetla się YOKOHAMA. Co ja wiem o Yokohamie? Chyba nic, ale czy na pewno? Podświadomość podpowiada mi, że jednak coś ważnego kojarzy się z tym

miastem. I nagle, olśnienie! W Yokohamie mieszkają krewni Józefa Piłsudskiego. Czytałam o tym jakiś czas temu i pamiętam, jak bardzo zaciekał mnie ten wątek. Potem, natknęłam się na wywiad z dziennikarką Dorotą Hałasą, która w Japonii, spotkała się z Kazuyasu Kimurą, wnukiem Bronisława Piłsudskiego, starszego brata Marszałka. A ostatnio, śledzę, niezwykłą podróż, w którą, śladami brata swego pradziadka, udała się Danuta Onyszkiewicz. Wyprawę Danuty Onyszkiewicz można obserwować wchodząc na stronę: sladamibronka.com



Bronisław (drugi z lewej) i Józef (trzeci) Piłsudscy, 1885. Kółko samokształceniowe „Spójnia” w gimnazjum wileńskim, fot. wikipedia

Bronisław Piłsudski jest postacią intrygującą. My Polacy, mało o nim wiemy, a przecież, na świecie cieszy się dużym uznaniem. Ma on bowiem, ogromne zasługi na polu etnografii i antropologii, jako badacz kultur Dalekiego Wschodu. Badał i opisywał ludy Niwchów i Oroków oraz Ajnów, początkowo na Sachalinie, a następnie na wyspie Hokkaido. Materiały naukowe które zebrał i opracował, najpierw jako katorżnik, a potem oficjalny przedstawiciel naukowych instytucji rosyjskich, są bezcennym źródłem wiedzy w dziedzinie meteorologii,

lingwistyki, życia plemiennego i rodzinnego, zwyczajów i obyczajów tamtejszych plemion. Pod koniec XX wieku, w prestiżowym wydawnictwie naukowym De Gruyter Mouton, zaczęły wychodzić po angielsku, pod redakcją Alfreda F. Majewicza, „Dzieła Zebrane” Bronisława Piłsudskiego. W Japonii, w Sapporo, postawiono pomnik ku czci Piłsudskiego, a i w podręcznikach szkolnych figuruje jego nazwisko. Jednym z ważniejszych dokonań Bronisława, są unikalne nagrania dźwiękowe mowy i pieśni Ajnów zarejestrowane na woskowych wałkach. Pozostały też, spisane podania i legendy, słowniki, i duży zbiór fotografii. Bronisław Piłsudski ocalił Ajnów od zapomnienia. Nie planował kariery naukowej w etnografii, nie miał też w tej dziedzinie formalnego wykształcenia. Na Daleki Wschód został zesłany, po tym, jak karę śmierci za planowanie zamachu na życie cara Aleksandra III, udało się zamienić na kilkunastoletnią katorgę. Nota bene, za udział w tymże spisku, powieszony został starszy brat Lenina, Aleksander Uljanow. Można sobie tylko wyobrażać, co przeżywał dwudziestoletni Bronisław, wyrwany ze swego środowiska, odseparowany od rodziny i przyjaciół, wepchnięty na statek, z którego, jako katorżnikowi, nawet w portach postojowych nie wolno było zejść.

Namiastkę tych przeżyć i refleksji znaleźć można w listach Bronisława do ojca. Udostępnia je czytelnikom Profesor Antoni Kuczyński, autor wielu publikacji o Piłsudskim. Bronisław Piłsudski na zesłaniu spędził kilkanaście lat swego życia.

Pierwsze lata, jako katorżnik, potem miał status osadnika. Nie poddał się rozpacz, choć zdawał sobie dobrze sprawę, jakim cieniem kładło się wygnanie, nie tylko na jego własnym życiu, ale na losie ojca i rodzeństwa. Szukając wyższych wartości, uznał, że będąc pożytecznym dla innych, nada sens swej nowej sytuacji. Do rdzennej ludności, podchodził z szacunkiem i empatią. Miał łatwość nawiązywania kontaktów z dziećmi, przez co, zdobywał zaufanie ich rodziców. Z biegiem lat, poznał tamtejsze języki, zaczął zakładać szkoły, uczył uprawy roli, popularyzował zasady higieny, bronił autochtonów przed lokalną administracją. Stał się ich orędownikiem.



Bronisław Piłsudski (1866-1918), fot. wikipedia

Na Sachalinie, już jako wolny osadnik (ale bez prawa opuszczenia Rosji), poznał siostrzenicę wodza Bafunke Kimury, Chuusammę, z którą ożenił się. Mieli dwoje dzieci, syna Sukezo, którego potomkowie mieszkają obecnie w Jokohamie i córkę Kyo, której rodzina żyje na Hokkaido. Po wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej Piłsudski udał się do Japonii, a następnie przez Stany Zjednoczone, w roku 1906, wrócił do Europy, by zamieszkać w Krakowie, a potem w Zakopanem, gdzie prowadził badania etnograficzne Podhala. Do swej ajnuskiej rodziny nigdy nie

powrócił. Podobno, przed wyjazdem czynił starania, by zabrać rodzinę ze sobą, ale nie uzyskawszy zgody wodza, odjechał więc sam. Sytuacja nie jest jasna, jednak fakt opuszczenia najbliższych, musiał do końca życia ciążyć na sumieniu Bronisława Piłsudskiego.

Po wybuchu I wojny światowej Piłsudski wyjechał do Szwajcarii i tam włączył się w działalność niepodległościową. W roku 1917 znalazł się w Paryżu, gdzie w kolejnym roku, w wieku 52 lat, tragicznie zakończyło się jego życie. Ciało znaleziono w Sekwanie, 17 maja 1918 roku. Wielu badaczy uważa, że było to samobójstwo. Bronisław Piłsudski, zesłaniec, etnograf, antropolog, wielki przyjaciel ludów Dalekiego Wschodu i starszy brat Marszałka Piłsudskiego, odszedł nie doczekawszy niepodległej Polski.



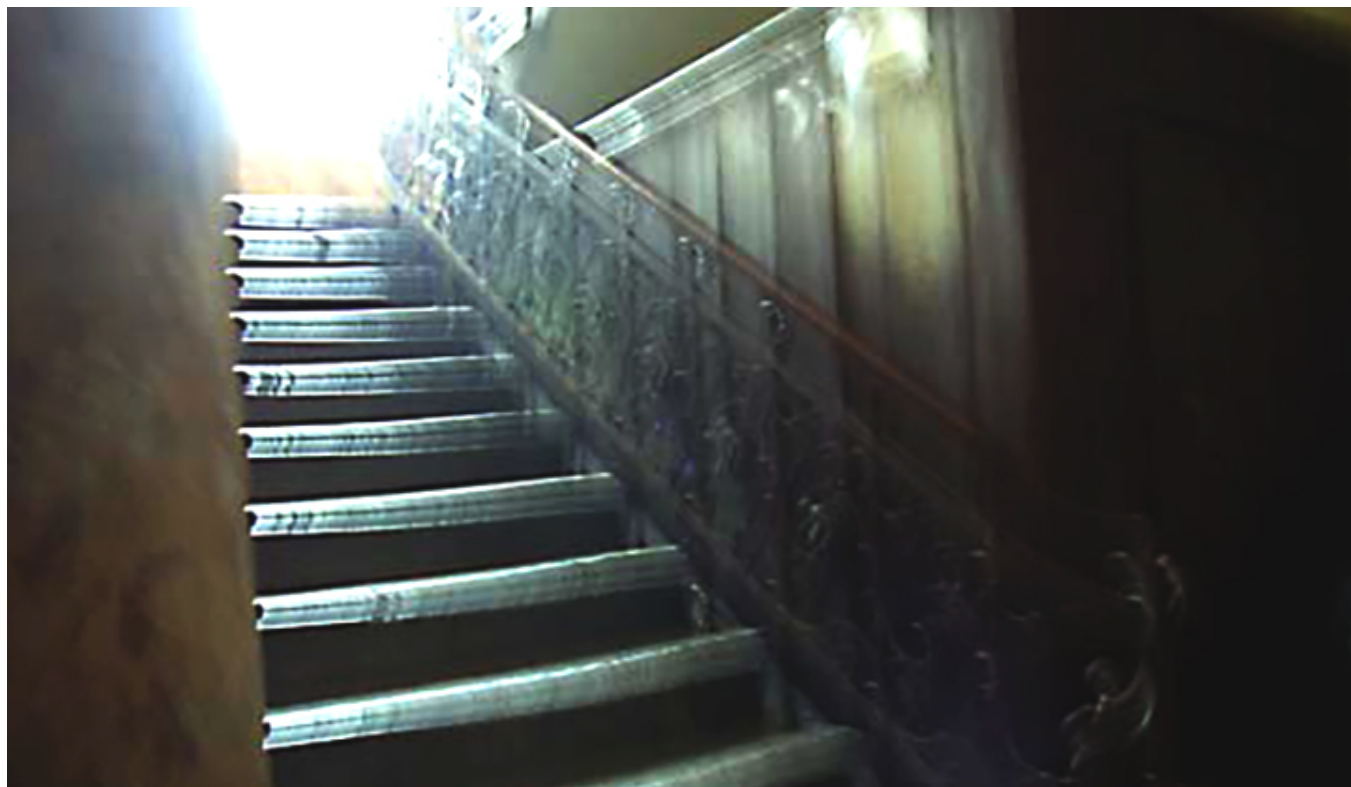
Portret Bonisława Piłsudskiego autorstwa A. Varnasa, fotografia z wystawy „Bronisław Piłsudski (1866-1918) w Wilnie”,
niepodlegla.gov.pl

Warszawski autobus miejski, do którego wsiadłam kilka dni przed wyjazdem do Japonii nie był zatłoczony, ale miejsc siedzących było tylko kilka. Usiadłam obok miłej, uśmiechniętej, elegancko ubranej kobiety. Była jesień, ale dzień wyjątkowo piękny, ciepły, słoneczny. Z zaciekawieniem obserwowałam widoki za oknem autobusu. Na kolejnym przystanku, wsiadła

grupa Wietnamczyków. Stanęli nieopodal mnie, kontynuując, w swym języku, zapewne wcześniej zaczęłą rozmowę. Moja sąsiadka, już się nie uśmiechała. „Takich, to my tu nie potrzebujemy”, wyrzuciła z siebie, czekając na potwierdzenie swej racji. „Takich, to znaczy, jakich?”, zapytałam, ale ona wzruszyła tylko ramionami. Milczałyśmy. Autobus pomykał dalej. Za oknami zobaczyłam zarysy pomnika Józefa Piłsudskiego. Po kilku minutach wysiadłam.

„Czy zna pani losy starszego brata Marszałka?” Szkoda, że wtedy nie zadałam jej tego pytania.

Schody



Adam Fiala

Matura po polskim październiku 1956 roku nie była łatwa zwłaszcza z przedmiotu zwanego historią. Przedmiot ten lubi ulegać magicznym zmianom. Zaś szkoła imienia Stanisława Staszica w Lublinie kojarzy mi się głównie ze Schodami. Nie chodzi o kariery, wielu uczniów je porobiło zwłaszcza w naukowych dziedzinach. Schody były drewniane, o wypracowanych stopniach, zjeżdżało się po nich w ciapach jak po ślizgawce. Były dwa zjeżdżania. Pierwsze gdy kończyły się lekcje, a były także w sobotę, drugie na gorącą zbożową kawę w podziemiach. Akurat przed dużą przerwą. Śpiący na lekcjach wtedy się budzili, nawiedzeni trzeźwieli i wiara wyruszała nie w pole, ale do kawopojju. Kanapki własne przynosiło się z domu,

przeważnie bułki bez szynki. Szynka w socjaliźmie była produktem strategicznym. Wszystkie ówczesne ruchy, także solidarnościowe były głównie z powodu mięsa, jak to nazywano „świnoujścia” do Związku Radzieckiego, gdzie kołchozy i sowchozy nie nadążały z produkcją.

Ze Schodami kojarzą mi się dwaj nauczyciele zwani „psorami”. Pierwszym z nich był dyrektor Majder, pseudo uczniowskie było zbędne bo krótkie nazwisko. Dyrektor, łacinnik, słynny z południowego temperamentu. Uczęszczałem na lekcje łaciny i szalenie bawiła mnie i klegów głośna odmiana: *hic, haec, hoc, huius, huic*. Majder lubił trzepać zeszytem po głowie ucznia nieprawidłowo odmieniającego. Drugie słowo to było *plusquamperfectum*. To taki czas zaprzeszły. Akurat w naszym czasie nie brakowało pluskiew i były perfekcyjne.

Jest nonsensem, że łacina to język martwy acz piękny. To jest urzędowy język państwa Watykan, nawet wynajdują nowe słownictwo na takie terminy jak telefon komórkowy czy komputer. On żyje i króluje. Na maturze miałem więc język łaciński. Zwolniony byłem potem na studiach prawniczych z uciążliwego lektoratu tego języka. Drugą uciążliwością nieznaną studentom KUL to było Studium Wojskowe, ale to zupełnie inna *cup of tea*.

Majder nie tylko trzepał zeszytami po głowach. Także ciapami,

wtedy unosił się straszny pył. Zaczęła się przy końcu schodów i jak ktoś zjechał krzyczał: "poznałem cię", kazał zdejmować ciapa i odkurzał go na głowie delikwenta. Wtedy nie było jeszcze absolutnej nietykalności cielesnej. Ale Majdera wyrzucono po polskim paździeniku i zajął jego miejsce Ślepak, z okularami grubymi jak dno szklanki. Ślepak jednak wszystko wiedział i widział bo miał szpiegów. Nauczał matematyki którą nazywał królową nauk. Wiedza matematyczna Ślepaka zamykała się w grubym zeszycie z gotowymi, rozwiązanymi zadaniami. Spiskowano nawet by podkraść mu ten zeszyt. Byłby bezradny jak i bez podwójnych okularów. Gdy zmieniał okulary cała klasa machała rękami zakładając, że w tym momencie kompletnie nic nie widzi. Te szczegóły zostały zupełnie pominięte w panegirycznej nieco książeczce "Tamten Staszic". Myślę że po prostu musiała być sporządzona w takim stylu. Rodzaj laurki. Cudem więc zdałem maturę z tego przedmiotu.

Ale jeszcze większy cud był z kolejnym „psorem” o pseudonimie Kalif. Też udało mi się zdać historię na trójkę. Kalif również wiąże się w mojej pamięci ze Schodami. Prowadził swą klasę dostojnie na śniadanie, wymachując grubą lachą jak Mojżesz. Do momentu. Wataha z góry naparła na jego klasę i Kalif został przewrócony, podeptany, a lacha uleciał kilka metrów dalej. Od tego wydarzenia Kalif już przestał uczyć kultury zachowania i bawić się w Mojżesza, prowadzącego do Ziemi Obiecanej.

Kombinowałem już wtedy, przyznaję się, by uniknąć tłoku. Nakładałem czerwoną opaskę, niby dyżurnego i bez problemu ześlizgiwałem się w podziemia (Majdera już wtedy nie było). Kawę podawano bez ograniczeń, czasami nawet naturalną, nie, nie, nie w okolicach świąt państwowych czy 1 Maja ale akurat kościelnych. Kalif to była barwna postać godna satyryka i jego powiedzenie: "strzelaj Niemcze w pierś Szlązaka" przeszło do historii szkoły Staszica. Odnalazłem je w tej książeczce "Tamten Staszic" przesłanej mi z Lublina po śmierci kolegi z prawniczych studiów. Są w niej dwa piękne eseje Kmiecika i Szczepaniaka. Pierwszy jest naukowcem, a drugi kustoszem Muzeum Socjalizmu w Kozłówce pod Lubartowem. Może jakimś cudem się o tym felietonie dowiedzą, bowiem lubliniacy są rozprzestrzeni po całym świecie. Zaś Kalif, który przeplatał przedmiot historii własnym życiem, był, jakby to aktualnie powiedzieć, i szowinistą i rasistą i Bóg wie kim, bohaterem prawdopodobnie także. Nienawidził wszystkich narodów i innych ras za wyjątkiem Francuzów, Polaków, a szczególnie ukochał etniczną grupę Hanysów czyli Ślązaków, choć sam był w innym miejscu urodzony, jako „gorol” (*Ślązacy innych nazywają „gorole”, red.*). Ale uwaga szczególnie nie lubił Czechów. Czecha nazywał Prusakiem Wschodu. Mam czeskie nazwisko, jestem pragmatycznym pacyfistą w stylu właśnie czeskim (nawet w czasie Czeskiej Wiosny, czyli powstania przeciwko komunie, nikt albo prawie nikt nie zginął). Byłem tam tylko raz na wycieczce zakładowej z "Samopomocy Chłopskiej", ale uważam, że Praga

Czeska to najpiękniejsze miasto Europy, dobrze że nie było tam nigdy ostrego powstania i nienaruszona ocalała. Ponadto tam urodził się mój ulubiony pisarz Franz Kafka, który się nie starzeje, a nawet jakby ciągle rośnie w aktualność. Kalif więc mógł do mnie odczuwać naturalną niechęć. Niektórzy nauczyciele jak Dziewulski zwany Cyganem wzywali mnie do tablicy okrzykiem: "Fiala przyleciała". Kalif miał na głowie tajemniczą bliznę. Podobno nie była z powodu Szwaba tylko oblany przez niego na maturze uczeń strzelił mu w głowę z modnego wówczas korkowca.

Kalif według własnych opowieści był bohaterem lub bardziej aktualnie ujmując rodzajem Rambo. Krótko ostrzyżony miał maleńkie niebieskie świńskie oczka i w dodatku grywał na skrzypcach, żeby było jeszcze zabawniej. Grał jak to nazywał: kawałki. Kiedyś zagrał na akademii na pianinie taki kawałek bodajże Szuberta, ale jeden ważny klawisz nie działał. Kalif był w Legionach, w 1919 r. walczył o Śląsk Cieszyński. Wraz z garstką kolegów pobił cały batalion czeski, przeganiając wroga za Olzę. W 1919 r. bił się z Ukraińcami o Lwów i Galicję Wschodnią. Ukraińcy się cofnęli. W 1920 r. rozgromił bolszewików i wygrał konkurs skrzypcowy.

Ale jeżeli chodzi o Szwabów to się z nim nie zgadzałem, bo kocham szwabski salceson, którego nie znajdzie się w Australii. Zwano go też Guzikowym, ze względu na oczka białego tłuszczu

w czerwonym krwawym mięsie. Bogaci ludzie w Polsce, a nigdy ich nie brakowało, zwano ich Czerwonymi Świniami z Zatoki Dobrobytu karmili tym salcesonem psy i koty.

Kalif jednak lubił Napoleona. Ponoć z zemsty za Księstwo tylko Warszawskie Polacy namówili Napoleona do inwazji na Rosję. Ale to już zupełnie inna historia.

Spisujmy wspomnienia, bo lubią ulatywać w przestrzeń kosmiczną. Czy komiczną – jak kto woli.

Ramis Neuronis.

Jacek Gwizdka –

fotografie.



Jacek Gwizdka, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Jacek Gwizdka urodzony w Łodzi naukowiec, pracuje na stanowym uniwersytecie w Teksasie w Austin (University of Texas at Austin) w School of Information, gdzie jest m.in. współdyrektorem laboratorium Information eXperience. W pracy naukowej bada interakcje człowieka z informacją i wyszukiwanie informacji przy użyciu technologii komputerowych. Jest jednym z pionierów w dziedzinie Neuro-

Information Science, w której zajmuje się stosowaniem metod z psychologii kognitywnej i neuro-fizjologii człowieka w badaniach interakcji człowieka z informacją. W 2013 roku jego prezentacja „Looking for Information Relevance In the Brain”, przedstawiona na konferencji Neuro Information Systems (NeuroIS'2013) w Gmunden w Austrii została wyróżniona nagrodą imienia Dr. H. Zemlicka za najbardziej wizjonerski artykuł.

Jacek Gwizdka od lat zajmuje się fotografią. Jednym z tematów jego zdjęć są splecione gałęzie drzew układające się w całość. Otrzymywane obrazy tworzą abstrakcyjne kształty i powierzchnie, przypominające złożoność struktur neuronów w mózgu.

Człowiek jest częścią przyrody, powstał z tych samych elementów, które tworzą otaczający nas świat. Poszukiwanie podobieństwa w obrazach badanego przez artystę w pracy naukowej ludzkiego mózgu, do otaczających nas formacji występujących w naturze, jest dla niego fascynujące. Drzewa z wyciągniętymi ramionami, czy wijące się, tętniące wiatrem, przekazujące impulsy światła gałęzie, uchwycone przez aparat Jacka Gwizdki, prowokują widza do refleksji.

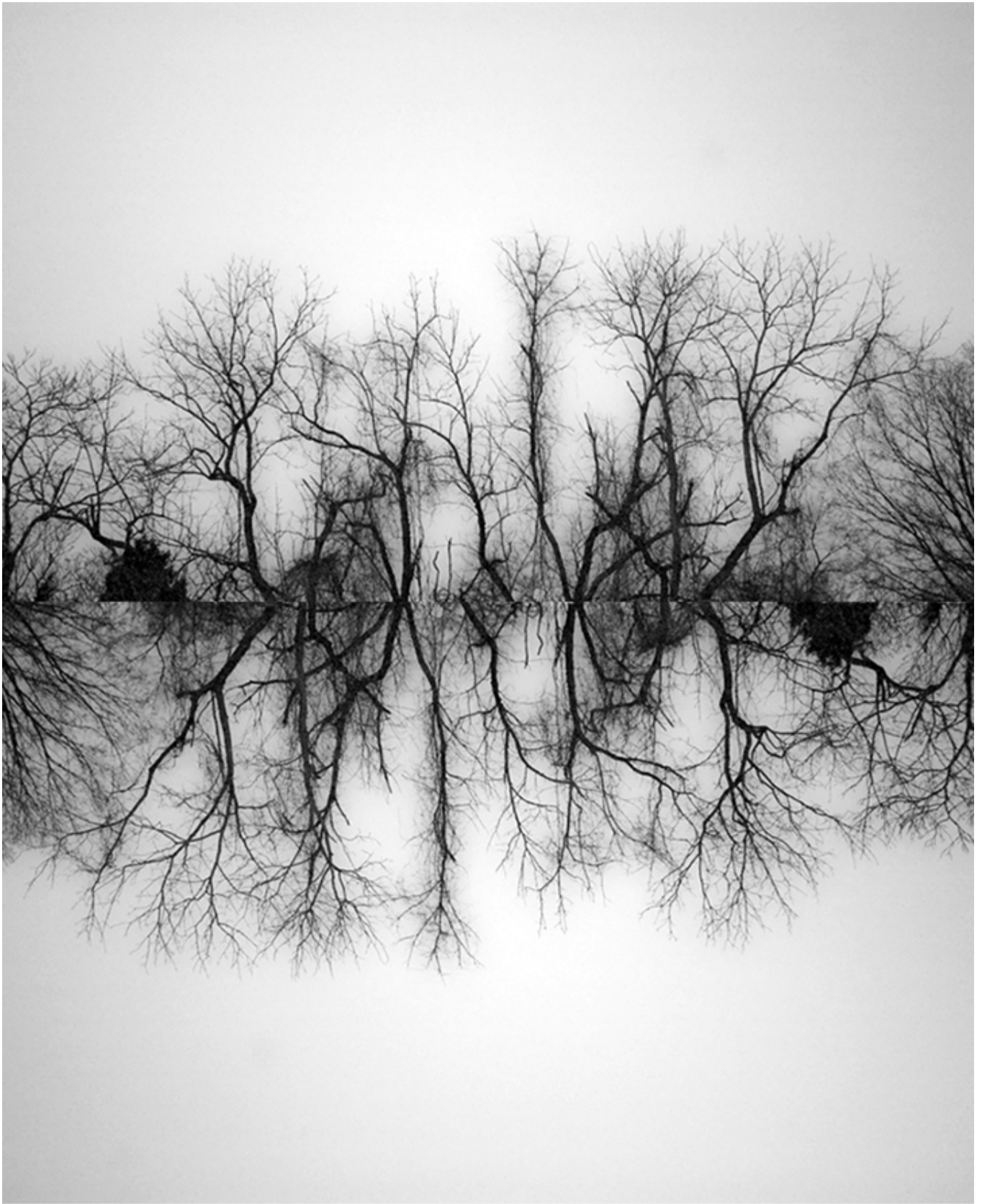
oprac. Joanna Sokołowska-Gwizdka

G a l e r i a











© 2018 Jacek Gwizdka



© 2018 Jacek Gwizdka











Ramis neuronis (łac.) – gałęzie (ramiona) neuronów.

Poprzednia seria fotografii Jacka Gwizdki:

<http://www.cultureave.com/cogitationes-aqua-jacek-gwizdka-fotografie/>

Copyright Jacek Gwizdka. Zainteresowanych zakupem zdjęć prosimy o kontakt z redakcją.